

POWOŁANIE TRÓJKI

STEPHEN
KING



MRO CZNA WIEŻA II

PROLOG

Rewolwerowiec zbudził się z dziwnego snu, który zdawał się składać z jednego obrazu: Żeglarza z talii tarota, za pomocą której mężczyzna w czerni przepowiedział mu (a przynajmniej tak twierdził) niewesołą przyszłość.

On tonie, rewolwerowcze – mówił człowiek w czerni – i nikt nie rzuca mu liny. To chłopiec, Jake.

A jednak to nie był koszmar, ale dobry sen. Dobry, gdyż to rewolwerowiec tonął, co oznaczało, że wcale nie był Rolandem, lecz Jake'em, i przyjął to z ulgą, bo byłoby o wiele lepiej utonąć jako Jake, niż żyć dalej jako człowiek, który na zimno zdradził ufającego mu dzieciaka.

Dobrze, w porządku, utonę – pomyślał, słuchając szumu morza. Dajcie mi utonąć. Ale nie był to odgłos otwartych wód, lecz charkot wody dławiącej się na kamieniach. Czyżby był Żeglarzem? Jeśli tak, to czemu łódź była tak blisko? A właściwie, czy nie był na łodzi? Czuł, że...

Lodowato zimna woda wlała mu się do butów i wpłynęła po udach do krocza. Szeroko otworzył oczy, gwałtownie wyrwany ze snu... nie z powodu przemarzniętych jąder, które nagle skurczyły się do wielkości orzechów laskowych, ani przez tę szkaradę po jego prawej ręce, lecz na myśl o swoich rewolwerach... Rewol-

werach i – co jeszcze ważniejsze – nabojach. Zamoczoną broń można szybko rozłożyć, wytrzeć do sucha, naoliwić, ponownie wytrzeć, znów naoliwić i powtórnie złożyć, natomiast naboje, tak samo jak zapalki, mogły po zamoczeniu nadawać się do użytku lub nie.

Szkarada była jakimś pełzającym stworzeniem, które najwidoczniej zostało wyrzucone na brzeg przez poprzednią falę. Z trudem wlokła swe mokre, błyszczące ciało po piasku. Miała prawie trzy stopy długości i znajdowała się mniej więcej jard na prawo. Spoglądała na Rolanda pustymi ślepiami na ruchomych słupkach. Otworzyła długi, ząbkowany dziób i zaczęła wydawać dźwięki upiornie podobne do ludzkiej mowy: *To-to-tak? Tu-tu-tum? Ta-ta-tam? Ty-ty-tyk?*

Rewolwerowiec widywał homary. Nie był to homar, chociaż spośród wszystkich stworzeń, które Roland kiedykolwiek widział, jedynie do homara był trochę podobny ten stwór. Najwyraźniej wcale się nie bał. Roland nie wiedział, czy to stworzenie jest niebezpieczne, czy nie. Nie przejmował się swoim obecnym stanem – to znaczy tym, że chwilowo nie może sobie przypomnieć, gdzie właściwie jest, jak się tu znalazł i czy naprawdę dopadł człowieka w czerni, czy też był to tylko sen. Wiedział jedynie, że musi wydostać się stąd, zanim utonie.

Usłyszał przeciągły, wzbierający ryk wody i oderwał wzrok od stworzenia (przystanęło i wystawiło szczypce, za pomocą których się poruszało, w wyniku czego w absurdalny sposób upodobniło się do boksera przyjmującego pozycję do walki z półdystansu, jakiej uczył ich Cort). Spojrzał na nadciągającą falę, zwieńczoną grzywą piany.

Ono słyszy tę falę – pomyślał rewolwerowiec. Cokolwiek to jest, ma uszy.

Spróbował wstać, lecz zbyt ścierpnięte nogi ugięły się pod nim.

Wciąż śnię – przemknęło mu przez głowę, lecz nawet w jego obecnym stanie ta możliwość była zbyt kusząca, aby w nią uwie-

rzyć. Znowu spróbował wstać, co mu się prawie udało, i ponownie upadł. Fala załamywała się. Nie było czasu. Musiał przestać na poruszaniu się w taki sam sposób, jak to stworzenie po jego prawej: na rękach przeciągać swój tyłek po drobnych kamieniach, odsuwając się od wody.

Nie zdołał całkowicie uciec przed falą, ale nie zmoczyła niczego poza jego butami. Sięgnęła mu prawie do kolan i cofnęła się.

Może ta pierwsza nie dotarła tak daleko, jak myślałem. Może...

Na niebie wisiał półksiężyc. Był zasłonięty całunem mgły, a mimo to rzucał dość światła, by rewolwerowiec mógł dostrzec, że olstra są zbyt ciemne. A więc jednak broń się zamoczyła. Nie mógł ocenić jak bardzo ani sprawdzić, czy spotkało to również naboje. Zanim to sprawdzi, musi wydostać się z wody. Musi...

Ty-ty-tu? Tym razem znacznie bliżej. Obawiając się wody, zapomniał o stworzeniu wyrzuconym przez nią na brzeg. Obejrzał się i zobaczył, że znajdowało się już mniej niż jard od niego. Wbijalo kleszcze w usiany kamykami i muszlami piach plaży, przemieszczając się. Podniosło swoje pękate, okryte pancerzem ciało, przez chwilę przypominając skorpiona, lecz Roland nie dostrzegł żądła na końcu odwłoka.

Kolejny przeciągły ryk, tym razem o wiele głośniejszy. Stwór natychmiast znieruchomiał i podniósł szczypce, przybierając pozycję do walki z półdystansu.

Ta fala była większa. Roland znów zaczął czołgać się w górę po piachu i kiedy podparł się rękami, stwór zaatakował z szybkością, jakiej nie zapowiadały jego dotychczasowe ruchy.

Rewolwerowiec poczuł przeszywający ból w prawej dłoni, ale teraz nie miał czasu o tym myśleć. Odepchnął się obcasami przemoczonych butów, podparł rękoma i zdołał umknąć przed falą.

To-to-tak? – dociekał stwór swym żalosnym głosem. *Nie pomożesz mi? Nie widzisz, że jestem zrozpaczony?* Roland dostrzegł kawałki swego pierwszego i drugiego palca, znikające w zabawkowym dziobie stwora. Ten ponownie skoczył i Roland zdołał

podnieść broczącą krwią rękę, w ostatniej chwili ratując pozostałe trzy palce.

Tu-tu-tum? Ta-ta-tam?

Chwiejnie stanął na nogi. Stwór rozdarł mu mokre dżinsy, przeciął but z miękkiej, lecz mocnej jak żelazo skóry i wyszarpnął kawałek ciała z łydki. Roland prawą ręką wyjął broń z kabury i dopiero kiedy rewolwer z łoskotem upadł na piach, uświadomił sobie, że brakuje mu dwóch palców potrzebnych do pociągnięcia za spust i zastrzelenia potwora.

Szkarada łapczywie pochwyciła broń szczypcami.

– Nie, draniu! – warknął Roland i kopnął stwora.

Miał wrażenie, że kopnął w kamień... który gryzie. Stwór odciął mu czubek prawego buta, większość palucha i ściągnął but z nogi.

Rewolwerowiec pochylił się, chwycił rewolwer, upuścił go, zaklął i w końcu zdołał go podnieść. To, co przedtem było tak łatwe, że nie wymagało zastanawiania się, teraz nagle stało się sztuką podobną do żonglerki.

Stwór zajął się butem, szarpiąc go i zadając bełkotliwe pytania. Fala toczyła się ku plaży, a wieńcząca jej grzbiet piana wyglądała blado i martwo w rozproszonym świetle księżyca. Homarokoszmar zostawił w spokoju but i ponownie ustawił szczypce do walki z półdystansu.

Roland lewą ręką wyciągnął rewolwer z olstra i trzykrotnie nacisnął spust. *Klik, klik, klik.*

Teraz przynajmniej już wiedział, co się stało z nabojami w komorach.

Wsunął broń do kabury. Aby umieścić rewolwer u prawego boku, musiał lewą ręką odwrócić go lufą w dół i dopiero wtedy wepchnąć na miejsce. Krew pokryła wytartą okładzinę z twardego drewna, poplamiała kaburę i stare dżinsy na udzie, do którego było przywiązane rzemieniem olstro. Płynęła z kikutów obciętych palców.

Skaleczona prawa stopa była jeszcze zbyt ścierpnięta, by boleć,

lecz prawa ręka paliła go żywym ogniem. Duchy uzdolnionych i długo szkolonych palców, które już rozkładały się w sokach trawiennych tego stwora, wrzaskliwie twierdziły, że wciąż są na swoim miejscu i płoną.

Widzę, że będą poważne kłopoty – pomyślał obojętnie rewolwerowiec.

Fala cofnęła się. Potwór opuścił kleszcze, wyrwał nową dziurę w bucie rewolwerowca, a potem doszedł do wniosku, że właściciel obuwia jest znacznie smaczniejszym kąskiem od kawałka skóry, który z niego zdarł.

– *Ty-ty-tu?* – zapytał i z niesamowitą szybkością pomknął w kierunku ofiary.

Rewolwerowiec zrejterował, prawie nie czując nóg. Uświadomił sobie, że napastnik jest inteligentnym stworzeniem: ostrożnie podszedł do swej ofiary, być może ze sporej odległości, nie wiedząc, czego można się po niej spodziewać. Gdyby fala nie obudziła rewolwerowca, stwór równie dobrze mógł odciąć mu głowę. Teraz krab doszedł do wniosku, że ofiara jest nie tylko smaczna, ale również bezbronna – łatwy łup.

Już prawie go dopadał, ten stwór długi na trzy stopy i wysoki niemalże na stopę, mogący ważyć nawet siedemdziesiąt funtów i zdecydowanie drapieżny tak samo jak David, sokół, którego rewolwerowiec hodował jako dzieciak... niestety, niewykazujący ani cienia lojalności tego ptaka.

Uciekając, rewolwerowiec zahaczył obcasem lewego buta o wystający z piasku kamień i o mało nie upadł.

– *To-to-tak?* – wychrypiał stwór, niespokojnie zerkając na rewolwerowca swymi bystrzymi ślepiami na ruchomych słupkach i wyciągając szczypce.

Wtedy nadciągnęła kolejna fala i krab znów uniósł je jak bokser pięści. Tym razem jednak szczypce lekko drżały i rewolwerowiec zrozumiał, że reagowały na odgłos fal, odgłos, który teraz – przynajmniej dla tego stworzenia – trochę przycichł.

Rewolwerowiec tyłem przeszedł nad kamieniem, a potem pochylił się, gdy fala ze swym przeciągłym szurgotem załamała się na plaży. Jego twarz znalazła się bardzo blisko kraba, który z łatwością mógłby wykluć mu oczy, lecz w tym momencie drżące szczypce, tak podobne do pięści, trzymał uniesione po obu stronach papuziego dzioba.

Roland chwycił kamień, o który prawie się przewrócił. Głaz był spory, do połowy zakopany w piasku. Okaleczona ręka protestowała, gdy piach i ostre kamyki wbiły się w otwartą i krwawiącą ranę, ale rewolwerowiec zdołał podnieść kamień, szczerząc zęby z wysiłku.

– *To-to...* – zaczęła szkarada, opuszczając i rozwierając szczypce, gdy fala opadła i ucichła.

Rewolwerowiec z całej siły cisnął głazem. Segmentowany odwłok stwora pękł z głośnym chrupnięciem. Przygnieciony krab miotał się wściekle, unosząc i z łoskotem opuszczając na piach tylną część ciała... unosząc i opuszczając. Pytające odgłosy przeszły w kłękające okrzyki bólu. Otwierał i zaciskał szczypce, łapiąc powietrze. Twardym dziobem chwycił piach i kamyki.

Mimo to z nadejściem następnej fali znów usiłował unieść szczypce, rewolwerowiec jednak nadepnął mu na łeb tą stopą, na której wciąż miał but. Rozległ się dźwięk przypominający trzask suchej gałęzi. Spod obcasa Rolanda trysnął płyn, rozbryzgując się w dwie strony. Miał czarną barwę. Stwór wygiął odwłok, wijąc się jak szalony. Rewolwerowiec nadepnął mocniej.

Nadeszła fala.

Kleszcze szkarady uniosły się nieznacznie... zadrżały i opadły, rozwierając się i zaciskając.

Rewolwerowiec zdjął obutą stopę. Ząbkowaty dziób, który odciał mu dwa palce prawej ręki oraz paluch nogi, powoli otworzył się i zamknął. Jeden wąż leżał odłamany na piasku. Drugi bezsilnie się trząsł.

Roland ponownie nadepnął. I jeszcze raz.

Stęknąwszy z wysiłku, zsunął kamień i zaczął przesuwając się wzdłuż prawego boku paskudy, metodycznie rozdeptując ją butem, rozbijając pancerz i wyduszając blade flaki na ciemnoszary piach. Stwór już nie żył, a mimo to Roland nie przestawał go zabijać. Jeszcze nigdy, przez cały ten długi i dziwny czas, nie został tak poważnie zraniony, a w dodatku tak niespodziewanie.

Deptał, aż w rozduszonych na papkę wnętrznościach stwora ujrzał koniec jednego ze swoich palców i biały pył pod paznokciem, pozostałość z golgoty, gdzie toczył długą rozmowę z człowiekiem w czerni. Odwrócił głowę i zwymiotował.

Potem poszedł z powrotem w kierunku wody, zataczając się jak pijany, przyciskając okaleczoną dłoń do koszuli i od czasu do czasu spoglądając przez ramię, żeby się upewnić, że stwór naprawdę nie odżyje niczym natrętna osa, która – uderzana raz po raz – wciąż się rusza... ogłuszona, lecz nie zabita. Sprawdzał, czy krab nie podąża za nim, zadając dziwne pytania swym okropnie zrozpaczonym głosem.

W połowie drogi do wody zatrzymał się, spoglądając na to miejsce, gdzie był w chwili przebudzenia. Najwidoczniej zasnął właśnie tutaj, nad samą wodą. Podniósł swoją torbę i rozdarty but.

W mętym świetle księżycy dostrzegł inne takie stwory, a w odstępach między jedną a drugą falą mógł słyszeć ich pytające głosy.

Rewolwerowiec cofał się krok za krokiem, aż dotarł do trawiasatego skraju plaży. Tam usiadł i zrobił to, co w tej sytuacji mógł zrobić: posypał kikuty palców resztką swego tytoniu, by powstrzymać krwawienie; pokrył je grubą warstewką bez względu na ich gwałtowne protesty (utracony paluch przyłączył się do chóru). A potem tylko siedział, pocąc się mimo chłodu, rozmyślając o zakażeniu, martwiąc się, jak sobie teraz poradzi bez dwóch palców prawej ręki (strzelał jednakowo dobrze z obu rąk, ale większość innych czynności wykonywał prawą ręką), nie wiedząc, czy ten stwór nie wpuścił mu jakiejś wolno działającej trucizny, zastanawiając się, czy kiedykolwiek nadejdzie ranek.

Rozdział 1

DRZWI

1

Trzy. *To liczba twojego przeznaczenia.*

Trójka?

Tak, trójka jest mistyczna. Trójka stoi w sercu mantry.

Jaka trójka?

Pierwszy jest młody, ciemnowłosy. Stoi na krawędzi rozboju i morderstwa. Opętał go demon. A imię tego demona brzmi HE-ROINA.

Jaki to demon? Nie znam go, nawet z dziecinnych opowieści.

Próbował mówić, ale oba głosy zamilkły, głos wyroczni i gwiazdnej dziwki, kurwy wiatrów. Zobaczył kartę, która, koziołkując, spadała znikąd donikąd, obracając się bez końca w leniwym mroku. Na niej pawian szczyrzył kły nad ramieniem ciemnowłosego młodzieńca. Niepokojąco ludzkie palce tak mocno zacisnął na karku młodego człowieka, że ich czubki pogrzyły się w ciele. Przyjrzał się dokładniej, rewolwerowiec dojrzał bicz w jednej z tych morderczo zaciśniętych łap. Twarz ciemnizonego młodzieńca zdawała się kurczyć w bezgłośnym przerażeniu.

Więzień, szeptał przyjaźnie człowiek w czerni (niegdyś będący mężczyzną noszącym imię Walter, mężczyzną, któremu rewolwerowiec ufał). *Trochę denerwujące, prawda? Trochę denerwujące... trochę denerwujące... trochę...*

Rewolwerowiec gwałtownie się ocknął, machając okaleczoną ręką, przekonany, że za chwilę rzuci się na niego jeden z tych monstrualnych skorupiaków z Morza Zachodniego, rozpaczliwie dopytując się o coś w obcym języku i odcinając mu głowę.

Zamiast kraba jakiś morski ptak, zwabiony lśnącymi w poranym słońcu guzikami koszuli, odleciał z krzykiem przerażenia.

Roland usiadł.

Ręka pulsowała boleśnie, miarowo. Prawa stopa również. Oba palce i paluch wciąż uparcie twierdziły, że są na swoich miejscach. Dolna połowa jego koszuli zniknęła, a to, co pozostało, przypominało obszarpaną kamizelkę. Część materiału zużył do zabandażowania dłoni, a resztą owiazał stopę.

Idźcie sobie – powiedział do utraconych części ciała. *Jesteście tylko duchami. Odejdźcie.*

Trochę pomogło. Niewiele, ale trochę. Były duchami, owszem, lecz bardzo żywotnymi.

Zjadł suszone mięso. Jego podniebieniu niezbyt się to podobało, a żołądkowi jeszcze mniej, rewolwerowiec jednak uparł się. Kiedy napełnił brzuch, poczuł się trochę lepiej. Zostało mu jednakże niewiele mięsa. Z tym też będą trudności.

A przecież miał sprawy do załatwienia.

Chwiejnie stanął na nogi i rozejrzał się wokół. Ptaki krążyły i nurkowały, lecz świat zdawał się należeć tylko do niego i do nich. Szkaradzeństwa zniknęły. Może polowały nocą, a może podczas przypływu. W tym momencie nie stanowiło to żadnej różnicy.

Morze było ogromne i spotykało się z horyzontem w zasnutym błękitną mgiełką punkcie, którego nie dało się określić. Na dłuższą chwilę rewolwerowiec zapomniał o bólu, kontemplując ten widok. Nigdy nie widział tyle wody. Oczywiście czytał bajki o morzu, a nauczyciele – przynajmniej niektórzy – zapewniali go, że ono

istnieje. Mimo to widok tak rozległej, tak zdumiewającej powierzchni wody po latach przebywania na pustynnym lądzie był trudny do zaakceptowania... a nawet trudny do ogarnięcia.

Spoglądał przez długi czas w zachwycie, nakazując sobie patrzeć, z podziwu zapominając o bólu.

Był jednak ranek i musiał jeszcze załatwić kilka spraw.

Wymacał zuchwę w tylnej kieszeni spodni, ostrożnie przesuwając po niej nasadą prawej dłoni, nie chcąc dotknąć jej kikutami palców, aby nieustanny szloch dłoni nie zmienił się w krzyk.

Była tam.

W porządku.

Następna sprawa.

Niezdarnie odpiął pasy z rewolwerami i położył je na rozgrzanej słońcem skale. Wziął do rąk rewolwery, odchylił bębenki i wyjął bezużyteczne naboje. Wyrzucił je. Zwabiony błyskiem ptak rzucił się na jeden z nich, chwycił go dziobem, po czym upuścił i odleciał.

Teraz powinien zająć się samymi rewolwerami, powinien zrobić to wcześniej, ponieważ jednak na tym czy jakimkolwiek innym świecie wszelka broń palna bez amunicji nadaje się najwyżej na pałkę, rewolwerowiec położył pasy z nabojami na podółku i powoli przesunął lewą dłońią po skórze.

Od klamry i sprzączki aż do miejsca, gdzie skrzyżowane pasy schodziły na biodra, wszystkie naboje były wilgotne. Ostrożnie wyjął te z suchej części pasów. Jego prawa dłoń uparcie próbowała się tym zająć, wciąż zapominając o swoim kalectwie... mimo bólu. Raz po raz musiał z powrotem opuszczać ją na kolano, jakby była psem zbyt głupim lub krnąbrnym, by słuchać pana. Oszołomiony rewolwerowiec raz czy dwa o mało jej nie uderzył.

Widzę, że będą poważne kłopoty – kolejny raz przemknęło mu przez myśl.

Usypał z tych naboí, być może jeszcze dobrych, przygnębiająco mały stosik. Dwadzieścia. Niemal na pewno część z nich nie

wypali. Nie mógł polegać na żadnym. Wyjął pozostałe i ułożył z nich drugi stosik. Trzydzieści siedem.

Cóż, i tak nie miałeś ich za wiele – pomyślał, chociaż zdawał sobie sprawę z różnicy między pięćdziesięcioma siedmioma dobrymi pociskami a dwudziestoma. Lub dziesięcioma. Czy pięcioma. Albo jednym. A może żadnym.

Z tych niepewnych naboí ułożył drugi stos.

Wciąż miał swoją torbę. To dobrze. Położył ją sobie na kolanach, a potem przystąpił do rozkładania rewolwerów i rozpoczął rytuał czyszczenia. Zanim skończył, minęły dwie godziny i ból stał się tak okropny, że kręciło mu się w głowie i z trudem zbierał myśli. Chciał spać. Nigdy w życiu niczego bardziej nie pragnął. Na służbie jednak żaden powód nie usprawiedliwia zaniedbania obowiązków.

– Cort – powiedział głosem, którego sam nie rozpoznał, i uśmiechnął się ponuro.

Powoli, powolutku, złożył rewolwery i załadował je nabojami, które uznał za suche. Kiedy skończył, wziął ten przeznaczony dla lewej ręki, odciągnął kurek... a potem stopniowo przywrócił go do pierwotnej pozycji. Chciał wiedzieć, owszem. Chciałby się przekonać, czy po naciśnięciu spustu usłyszysz zadowalający huk, czy też tylko rozczarowujący suchy trzask. Trzask jednakże niczego by nie zmienił, a huk wystrzału tylko zmniejszyłby liczbę z dwudziestu do dziewiętnastu... lub dziewięciu... albo do trzech... lub nie pozostałoby nic.

Oddarł kolejny kawałek koszuli, położył na nim pozostałe naboje – te, które zamokły – po czym lewą ręką zawiązał węzełek, pomagając sobie zębami. Schował zawiniątko do torby.

Śpij – domagało się ciało. Śpij, musisz teraz spać, jeszcze przed zmrokiem, nic innego ci nie pozostało, jesteś wykończony...

Z trudem wstał i rozejrzał się po pustej plaży. Miała kolor długo niepranej bielizny i była usłana bezbarwnymi muszelkami. Tu i ówdzie z gruboziarnistego piasku wystawały wielkie głazy pokryte

solidną skorupą guana, którego starsze warstwy były żółte jak niemyte zęby, a świeższe białe niczym kreda.

Linie przypływu znaczył wysychający morszczyń. Roland dostrzegł leżące tuż za nią resztki swojego buta i bukłaki na wodę. Pomyślał, że to prawie cud, iż wysokie fale nie wciągnęły ich do morza. Idąc powoli, bardzo utykając, rewolwerowiec podszedł do nich. Wziął jeden, podniósł na wysokość ucha i potrząsnął. Drugi był pusty. W tym pozostała jeszcze odrobina wody. Mało kto potrafiłby je rozróżnić, lecz rewolwerowiec znał je tak dobrze, jak matka swoje dzieci-bliźnięta. Podróżował z tymi bukłakami przez długi, długi czas. W środku plusnęła woda. To dobrze – dar losu. Zarówno ten stwór, który go zaatakował, jak i każdy z jego pobratymców mógł przeciąć bukłak jednym kłapinięciem dzioba lub cięciem szczypiec, tymczasem kraby i przypływ oszczędziły oba. Napastnika nigdzie nie było widać, mimo że zakończyli pojedynek spory kawałek od wody. Być może szczątki porwali inni drapieżcy, a może jego pobratymcy wyprawili mu morski pogrzeb, tak jak podobno chowały swoich zmarłych olbrzymie stworzenia, o których opowiadano bajki.

Oparł bukłak na lewym łokciu, napił się i poczuł, że wracają mu siły. Oczywiście prawy but był zniszczony... choć błysnęła mu isierka nadziei. Sama podeszwa okazała się cała – trochę zadrapana, ale cała, więc może udałoby się wyciąć z niej sandał, który wytrzymałby przynajmniej do czasu, aż...

Nagle ogarnęła go słabość. Walczył z nią, lecz kolana się pod nim ugięły i ciężko usiadł na ziemi, przygryzając sobie język.

Nie zemdlesz – pomyślał ponuro. Nie tutaj, gdzie następny stwór może pojawić się wieczorem i dokończyć robotę.

Tak więc wstał i przymocował sobie pusty bukłak do pasa, ale przeszedł zaledwie dwadzieścia kroków w kierunku miejsca, gdzie zostawił broń oraz torbę, gdy znowu upadł, prawie tracąc przytomność. Leżał tak przez chwilę, z policzkiem przyciśniętym do piasku, a ostra krawędź muszli wbiła mu się w szczękę tak mocno, że

prawie kaleczyła go do krwi. Zdołał napić się wody z bukłaka, po czym doczołgał się do miejsca, gdzie się poprzednio ocknął. Dwadzieścia jardów w górę zbocza rosło drzewo Jozuego – karłowate, ale rzucające trochę cienia.

Rolandowi ta odległość wydawała się dwudziestoma milami.

Mozolnie zataszczył resztki swojego dobytku w tę niewielką kałużę cienia. Położył się tam z głową w trawie, powoli pograżając się w tym, co mogło być snem, omdleniem lub śmiercią. Spojrzał w niebo i spróbował określić czas. Południe jeszcze nie minęło, ale było już-tuż, o czym świadczyły plamy cienia, w którym spoczywał. Leżał jeszcze chwilę, zgiąwszy prawą rękę i przyglądając się jej z bliska, szukając symptomu świadczącego o zakażeniu lub powolnym działaniu jakiejś silnej trucizny.

Dłoń wciąż była ciemnoczerwona. Zły znak.

Będę bił konia lewą ręką – pomyślał. Zawsze to coś.

Potem zapadł w ciemność i spał przez następne szesnaście godzin, a szum Morza Zachodniego nieustannie wdzierał mu się do uszu.

3

Kiedy się obudził, morze kryło się w mroku, lecz niebo na wschodzie leciutko jaśniało. Nadchodził ranek. Rewolwerowiec usiadł i o mało nie poddał się falom mdłości.

Pochylił głowę i czekał.

Nudności minęły, a on spojrzał na swoją dłoń. Oczywiście rana była zakażona – świadczyło o tym zaczerwienienie i opuchlizna obejmująca całą dłoń aż do nadgarstka. Tam się kończyła, ale już dostrzegł niewyraźne zarysy czerwonych linii, które w końcu dotrą do serca i zabiją go. Był spocony z gorączki.

Potrzebne mi lekarstwo – pomyślał. Tyle że tu nie ma żadnych lekarstw.

Czyżby dotarł tak daleko tylko po to, żeby umrzeć? Na pewno nie. A gdyby nawet mimo swej determinacji miał zginąć, to zginie w drodze do Wieży.

Jakże jesteś niezwykły, rewolwerowcze! – zachichotał w jego głowie człowiek w czerni. Jaki niepokonany! Jakże romantyczny z tą swoją idiotyczną obsesją!

– Pieprzę cię – wyrzucił i napił się. Wody też nie zostało mu dużo. Miał przed sobą całe morze i co mu z tego; woda, wszędzie woda, ale ani kropelki do picia. Nic nie szkodzi.

Założył pasy z amunicją i zapiął je – ta czynność trwała tak długo, że zanim skończył, pierwsze słabe promienie świtu rozjaśniły niebo, zapowiadając dzień – a potem spróbował wstać. Wcale nie był pewien, czy mu się uda.

Lewą ręką przytrzymując się drzewa Jozuego, prawą podniósł prawie pusty bukłak i przerzucił go przez ramię. Potem torbę. Kiedy się wyprostował, znów poczuł się słabo i pochylił głowę, cierpliwie czekając.

Doszedł do siebie.

Idąc chwiejnym, niepewnym krokiem człowieka w ostatnim stadium upojenia alkoholowego, rewolwerowiec z powrotem zszedł na plażę. Stał, spoglądając na ciemny jak wino z jeżyn ocean, a potem wyjął z torby resztę suszonego mięsa. Zjadł połowę i tym razem zarówno podniebienie, jak i żołądek znacznie chętniej przyjęły posiłek. Odwrócił się i zjadł resztę, obserwując słońce wychodzące zza gór, w których zginął Jake. W pierwszej chwili wydawało się, że utknęło między kłami nagich szczytów, ale zaraz uniosło się ponad nie.

Roland wystawił twarz ku słońcu, zamknął oczy i uśmiechnął się. Skończył mu się zapas suszonego mięsa.

Pomyślał: Bardzo dobrze. Jestem teraz człowiekiem bez żywności, bez dwóch palców u ręki i jednego palucha u nogi. Jestem rewolwerowcem mającym naboje, które mogą nie wypalić, i zakażoną ranę po ugryzieniu potwora, natomiast nie mam żadnych

lekarstw. Wody wystarczy mi w najlepszym razie na jeden dzień, a jeśli zbiorę wszystkie siły, może uda mi się przejść kilkanaście mil. Krótko mówiąc, jestem na krawędzi.

W którą stronę powinien pójść? Przyszedł ze wschodu, a na zachód nie mógł ruszyć, nie mając sił świętego lub zbawcy. Tak więc pozostawała północ i południe.

Północ.

Taką odpowiedź podsuwało mu serce. Nie pozostawiało żadnej wątpliwości.

Na północ.

Rewolwerowiec ruszył.

4

Szedł przez trzy godziny. Dwa razy upadł i za drugim razem nie wierzył, że jeszcze zdoła się podnieść. Wtedy nadciągnęła fala, dostatecznie blisko, by przypomniał sobie o broni i stanął na drżących jak galareta nogach, zanim zdał sobie z tego sprawę.

Sądził, że przez te trzy godziny udało mu się przejść mniej więcej cztery mile. Teraz słońce zaczynało grzać, ale nie tak mocno, żeby spowodować łupanie w głowie i sprawić, że po twarzy spływał mu pot, tak samo jak wiejący znad morza wietrzyk nie był dostatecznie silny, aby wywołać nagłe ataki dreszczy, pod wpływem których dostawał gęsiej skórki i szczykał zębami.

Gorączka, rewolwerowcze – zachichotał człowiek w czerni. To, co zostało w ranie, roznieciło pożar.

Czerwone linie infekcji były teraz lepiej widoczne: przesunęły się od prawego przegubu do połowy przedramienia.

Przeszedł jeszcze ponad milę i wypił resztę wody. Przywiązał bukłak do pasa, obok pierwszego. Krajobraz był monotony i ponury. Morze po prawej, góry po lewej, a szary i usiany muszelkami piach pod podeszwami sfatygowanych butów. Nadciągające i co-

fające się fale. Wypatrywał koszmarnych homarów, ale nie dostrzegł żadnego. Maszerował znikąd donikąd, człowiek z innego czasu, który najwidoczniej dotarł do kresu nicości.

Tuż przed południem znowu upadł i wiedział, że nie uda mu się wstać. A więc to tutaj. To już koniec... po tym wszystkim.

Zdołał utrzymać się na czworakach i uniósł głowę... jak zamroczony bokser. Nieco dalej, może o milę lub trzy (trudno mu było ocenić odległość na tym bezkresnym pasie piachu i w gorączy, od której oczy wychodziły mu z orbit), zobaczył coś nowego. Coś stało na plaży.

Co to takiego?

(trzy)

Nieważne.

(to liczba twojego przeznaczenia)

Rewolwerowiec jeszcze raz zdołał podnieść się z ziemi. Wyrzeźił coś, jakieś błaganie, które usłyszały tylko krążące na niebie morskie ptaki (z jaką przyjemnością wydziobałyby mi oczy – pomyślał – z jaką przyjemnością połknęłyby takie smakowite kąski!), i poszedł dalej, zataczając się jeszcze bardziej i zostawiając za sobą przedziwnie kręty, a czasem zapętlony ślad.

Nie odrywał wzroku od tego, co stało na plaży. Kiedy włosy opadły mu na oczy, odgarnął kosmyk na bok. Wydawało się, że wcale nie zbliża się do tego czegoś. Słońce osiągnęło swój najwyższy punkt na nieboskłonie i pozostawało w nim o wiele za długo. Roland wyobraził sobie, że znów jest na pustyni, gdzieś w pobliżu chaty ostatniego osadnika,

(fasola, fasola, muzyczny przysmak, im więcej żrzesz, tym częściej prykasz)

i ujrzał zajazd, gdzie chłopak

(twój Izaak)

oczekiwał na jego przybycie.

Kolana ugięły się pod nim, wyprostowały, ugięły i znów wyprostowały. Gdy włosy ponownie opadły mu na oczy, nie fatygował

się ich odgarnianiem – już nie miał na to siły. Patrząc na ten obiekt, który teraz stanowił wąski cień na tle gór, rewolwerowiec szedł dalej.

Rozpoznał go mimo gorączki.

Były to drzwi.

Niecałe czterysta jardów od nich kolana znowu ugięły się pod Rolandem i tym razem nie zdołał ich wyprostować. Upadł, uderzając prawą ręką o ziarnisty piach i muszle, a kikuty palców zawyły, gdy pękły świeże strupy. Znowu zaczęły krwawić.

Zaczął się czołgać. Pełznął, mając w uszach nieustanny szum nadciągających i wycofujących się fal Morza Zachodniego. Podpierał się łokciami i kolanami, pozostawiając wgłębienia w piasku, tuż za linią przypływu, zaznaczoną przez schnące pasma brudno-zielonego morszczyku. Podejrzewał, że wiatr wciąż wieje – na pewno, gdyż dreszcze wstrząsały całym jego ciałem – lecz jedyne podmuchy, jakie słyszał, dobywały się z jego udręczonych płuc.

Drzwi były już bliżej.

Bliżej.

W końcu, około trzeciej po południu tego okropnego dnia, gdy cień po lewej zaczął się wydłużać, rewolwerowiec dotarł do nich. Przykucnął i spojrzał na nie znużonym wzrokiem.

Miały ponad sześć stóp wysokości i wyglądały na zrobione z twardego tekowego drewna, chociaż najbliższe z takich drzew rosło co najmniej siedemset mil stąd. Klamka wydawała się złota i ozdobiona filigranowym wzorem, który rozpoznał dopiero po chwili: uśmiechnięty pysk pawiana.

W gałce, nad nią i pod nią nie było dziurki od klucza.

Drzwi miały zawiasy, lecz nieprzymocowane do niczego – *a przynajmniej tak mi się zdaje*, pomyślał rewolwerowiec. *To zagadka, naprawdę cudowna zagadka, tylko jakie to ma znaczenie? Umierasz. Zbliżasz się do rozwiązania swojej własnej tajemnicy – jedynej, jaka naprawdę ma znaczenie dla każdego mężczyzny i każdej kobiety.*

Mimo wszystko wydawało się, że ma to jakieś znaczenie.

Te drzwi. Znajdujące się w miejscu, gdzie nie powinno ich być. Po prostu stały sobie na szarym piasku, dwadzieścia stóp nad linią wody, sprawiając wrażenie odwiecznych jak morze i rzucając skośny, skierowany na wschód cień w chyłącym się już ku zachodowi słońcu.

Mniej więcej na dwóch trzecich ich wysokości widniało słowo napisane czarnymi literami w języku Wysokiej Mowy:

WIEZIEN

Opętał go demon. A imię tego demona brzmi HEROINA.

Rewolwerowiec usłyszał głuchy, przeciągły dźwięk. Z początku pomyślał, że to wiatr lub odgłos zrodzony w jego rozgorączkowanej głowie, lecz z każdą chwilą nabierał pewności, że to dźwięk silników... dochodzący zza tych drzwi.

Otwórz je. Nie są zamknięte. Wiesz, że nie są zamknięte.

Zamiast tego niezdarnie podniósł się z ziemi, podszedł do drzwi i zajrzał za nie.

Za nimi nie było niczego. Tylko ciemnoszary piach, ciągnący się jak okiem sięgnąć. Tylko fale, muszle, linia przypływu oraz jego własne ślady – wgłębienia pozostawione przez buty i łokcie. Spojrzał jeszcze raz i szerzej otworzył oczy. Tutaj nie było drzwi, a jedynie ich cień.

Zaczął wyciągać prawą rękę – och, ona tak wolno przyzwyczajała się do nowej roli, jaką miała teraz odgrywać w jego życiu – po czym opuścił ją i podniósł lewą. Pomacał na oślep, szukając twardej powierzchni.

Jeśli ją wymacam, zastukam w powietrze – pomyślał. To będzie interesujące zajęcie przed śmiercią!

Jego dłoń napotkała tylko powietrze, chociaż wyciągnął ją daleko poza miejsce, gdzie powinny być te drzwi – nawet niewidzialne.

Nie było w co pukać.

I warkot silników – jeśli naprawdę był to ten dźwięk – też ucichł. Teraz Roland słyszał jedynie wiatr, fale i cichy szum w swojej głowie. Powoli przeszedł z powrotem na drugą stronę nieistniejących drzwi, myśląc, że od początku były halucynacją i...

Staął jak wryty.

Zaledwie przed chwilą patrzył na zachód, na nieciekawy widok szarego, pofalowanego morza, gdy nagle w polu widzenia pojawiły się drzwi. Zobaczył ich zamek, wyglądający również na złoty, ze sterzącą zasuwą, przypominającą krzepki metalowy jęzor. Roland odrobinę odwrócił głowę na północ i drzwi znikły. Odwrócił ją z powrotem i znów tam były. Nie pojawiły się – po prostu tam były.

Obszedł je i stanął twarzą do nich, chwiejąc się.

Mógłby obejść je i stanąć od strony morza, ale był przekonany, że wszystko się powtórzy, tyle że tym razem on upadnie i nie wstanie.

Ciekawe, czy mógłbym przejść przez nie od strony nicości?

Och, miał wiele powodów do rozmyślań, lecz prawda była prosta: oto na bezludnej plaży znajdowały się drzwi i miał tylko dwie możliwości: otworzyć je lub pozostawić zamknięte.

Rewolwerowiec z wisielczym humorem pomyślał, że może nie umrze tak szybko, jak się spodziewał. Czy w przeciwnym razie bałby się aż tak bardzo?

Wyciągnął lewą rękę i dotknął klamki. Nie zaskoczył go ani śmiertelny chłód metalu, ani ognisty żar cienkich, wrytych tam runów. Obrócił klamkę. Kiedy pociągnął za nią, drzwi się otworzyły. Była to ostatnia rzecz, jakiej mógł się spodziewać. Spojrzał, zamarł, wydał pierwszy krzyk przerażenia w swoim dorosłym życiu i zatrasnął drzwi. Nie było niczego, o co mogłyby trzasnąć, a mimo to zatrasnęły się z hukiem, aż morskie ptaki z wrzaskiem zerwały się z głązów, na których przysiadły, aby go obserwować.